

Przekrój

KRAKÓW

T. Nr 11 18-03-2001



FOT. PAPANDREI RYBCZYŃSKI

Magdalena Kuta, Maria Maj, Stanisława Celińska (próba „Bachantek” Eurypidesa)

Goście Wieczery Pańskiej

Krzysztof Warlikowski opowiada o tym, jaki jest Bóg, jak go poznajemy i do kogo przychodzi. I czyni to z pasją, jakiej dawno nie widziałem w polskim teatrze.

Dwa lata temu powątpiewałem nieco, nie tyle w siłę scenicznych wizji, co w głębię intelektualną przedstawień Warlikowskiego. Po „Bachantkach” muszę przyznać, że się myliłem: reżyser nie działa tylko na emocje widzów, ale zmusza ich do myślenia, zastanowienia się nad tym, czym jest ich wiara lub jej brak.

Już od pierwszej sceny jesteśmy w Pałacu Penteusza. Publicz-

ność zajmuje miejsca na scenie i na widowni. Scenografia sugeruje, że miejsce akcji to wcale nie antyczne Teby, lecz garaż z przedmieść wielkiego miasta albo bandycka melina. Ubrany współcześnie sługa zamiata podłogę. Na stole leży chleb, stoją butelki i stoiki. Bóg przyjdzie tutaj na wieczerzę.

Najbardziej niezwykły jest pomysł na chór. Tworzą go trzy stare kobiety (Magdalena Kuta, Maria Maj, Stanisława Celińska), ich zniszczone przez czas twarze są pomalowane w jaskrawe kolory. Bachantki trzymają w rękach modlitewniki. To stare dziwki, zbyt

chore i niedołężne, by wraz ze wszystkimi innymi kobietami poddać się orgiastycznemu kultowi nowego boga w leśnych ostępach. Zostały w Tebach, adorując posążek Dionizosa, palą świece, odmawiają pacierze, przynoszą dobrą nowinę jak misjonarki w slamsach. Chór melorecytuje wersy Eurypidesa do wtóru delikatnej, cichutkiej muzyki, która dobiega z odległości, spoza pomieszczenia. To trip-hopowy podkład: gdzieś tam w mieście ludzie się bawią. Muzyka wyznacza rolę także innym bohaterom. Każdy z aktorów mówi w innej tonacji – postanieniec opowiada o szaleństwie

bachantek jakby czytał Ewangelię, frazy Penteusza są krótkie, rwane, dziwnie akcentowane.

Warlikowski ociera się o bluźnierstwo. Spaja w jedno wątki greckie i chrześcijańskie. Pokazuje, jak będzie wyglądać drugie przyjście Chrystusa. W jego wizji będzie to inny Chrystus – Chrystus-Dionizos. Odtwarzający Boga Andrzej Chyra gra zwierzę wcielone w człowieka, kozioł Dionizosa. To zwierzę najpierw nie ma głowy, potem uczy się mówić i chodzić, stopniowo przejmuje cechy swojego przodkowcy – Penteusza. Wkłada jego kostium, mówi z identycznym akcentem. Uczłowieczony Bóg staje się bardziej okrutny niż człowiek. W piękniejszej scenie przedstawienia skryty w ciemności Dionizos opowiada, jak cudem wydostał się z lochu – pękły mury i krata, strażnicy uciekli. Bachantki oświetlają go migającymi zajawkami z lusterek. Twarz Boga znika i znów się pojawia.

Eurypides ostrzegał w swojej tragedii – winą człowieka jest brak wiary, ale i winą jest jej nadmiar. Prawdziwa wiara, taka wiara, która przynosi ocalenie, musi być ułomna, pęknięta, niespełniona, nie doprowadzona do ostateczności, bo granica między Bogiem a śmiercią jest niemal nieuchwytna. Warlikowski brnie w dwuznaczności. Zawsze jest jakiś zły Bóg. Zawsze są ludzie, którzy za bardzo wierzą. W finale na scenie nie ma Dionizosa, zniknęły gdzieś bachantki, umywszy uprzednio swe kolorowe twarze. Na stole ofiarnym leży Agawe (Małgorzata Hajewska-Krzysztofik) i przyciska do łona głowę Penteusza. Opętana Bogiem, dopiero co rozszarpała w górach własnego syna. Warlikowski pokazuje kobietę, która rodziła dwa razy: najpierw dała życie, potem dała śmierć. Stary Kadmos Andrzeja Bednarza wylewa obok niej zawartość dwóch wiader z ludzkimi wnętrznościami. Tyle zostało z króla-niedowiarka. W najprawdziwszej komunii człowieka z Bogiem to człowiek, nie Bóg, zostaje zjedzony.

ŁUKASZ DREWNIAK

Teatr Rozmaitości w Warszawie „Bachantki” Eurypidesa. Przekład: Stanisław Hebanowski, reżyseria: Krzysztof Warlikowski, scenografia: Małgorzata Szczęśniak, muzyka: Paweł Mikiety. Premiera: 9 lutego 2001.